

Maraton czytania poezji

Z. Herbert



1924-1998

Zaproszenie i sugestie

Szanowni Państwo,

dziękujemy, że zechcieliście wziąć udział w naszej inicjatywie. Wierzymy, że słowo poetyckie żyje dzięki lekturze, a szczególnie - dzięki lekturze głosowej.

By usprawnić organizację naszego spotkania prosimy, by każdy uczestnik przygotował slajd ze swoim tekstem wiersza. Osoby, które są “wzrokowcami” będą mogły dzięki temu śledzić lekturę. Organizatorom ułatwi to prowadzenie spotkania, gdyż prezentacja będzie zarazem jego “spisem treści”. Uprzejmie prosimy, by czytany wiersz sprawdzić z wydany tomem wierszy Herberta, gdyż w internecie zdarzają się błędy (głównie literówki). W Bibliotece Humanistycznej (Wita Stwosza 55) jest w depozycie egzemplarz drukowany zbioru wierszy Herberta. Warto w nim sprawdzić oryginalne brzmienie tekstu. Książka może także pomóc jako źródło tekstów do wyboru.

Slajd wiersza prosimy przygotować zgodnie ze wzorem (slajd 3). Kolejne slajdy wklejamy poniżej.

Wpisujemy imię i nazwisko lub tylko imię osoby recytującej (jak Państwo wolą), a obok nazwisko poety i tytuł wiersza oraz tytuł tomiku (większą czcionką niż imię recytującego).

Przed lub po wykonaniu wiersza można, ale nie trzeba, dodać krótki komentarz. Dlaczego wybrałeś/-aś ten tekst? Co Cię w nim zatrzymało? Prosimy jednak, by było to dosłownie kilka zdań.

NIE TRZEBA MÓWIĆ WIERSZA Z PAMIĘCI. MOŻNA CZYTAĆ.

DZIĘKUJEMY.

Tomiki Herberta w układzie chronologicznym

- *Struna światła* (Czytelnik, Warszawa 1956)
- *Hermes, pies i gwiazda* (Czytelnik, Warszawa 1957)
- *Studium przedmiotu* (Czytelnik, Warszawa 1961)
- *Napis* (Czytelnik, Warszawa 1969)
- *Pan Cogito* (Czytelnik, Warszawa 1974)
- *Raport z oblężonego Miasta i inne wiersze* (Instytut Literacki, Paryż 1983)
- *Elegia na odejście* (Instytut Literacki, Paryż 1990)
- *Rovigo* (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1992)
- *Epilog burzy* (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1998)
- *89 wierszy* (Wydawnictwo a5, Kraków 1998)^[41]

Z. Herbert, *Modlitwa Pana Cogito* (tomik *Raport z oblężonego miasta*)

Panie

dziękuję Ci że stworzyłeś świat piękny i bardzo różny

a także za to że pozwoliłeś mi w niewyczerpanej
dobroci Twojej być w miejscach które nie były
miejscami mojej codziennej udręki

– że nocą w Tarquinii leżałem na placu przy studni
i spiż rozkołysany obwieszczał z wieży Twój gniew
lub wybaczenie

a mały osioł na wyspie Korkyra śpiewał mi ze swoich
niepojętych miechów płuc melancholię
krajobrazu

i w brzydkim mieście Manchester odkryłem ludzi
dobrych i rozumnych

natura powtarzała swoje mądre tautologie: las był
lasem morze morzem skała skałą

gwiazdy krążyły i było jak być powinno – *Iovis
omnia plena*

– wybacz – że myślałem tylko o sobie gdy życie
innych okrutnie nieodwracalne krążyło wokół
mnie jak wielki astrologiczny zegar u świętego
Piotra w Beauvais

że byłem leniwy roztargniony zbyt ostrożny
w labiryntach i grotach

a także wybacz że nie walczyłem jak lord Byron
o szczęście ludów podbitych i oglądałem tylko
wschody księżyca i muzea

– dziękuję Ci że dzieła stworzone ku chwale Twojej
udzieliły mi części swojej tajemnicy i w wielkiej
zarozumiałości pomyślałem że Ducio van Eyck
Bellini malowali także dla mnie

a także Akropol którego nigdy nie zrozumiałem do
końca cierpliwie odrywał przede mną okaleczone
ciało

– proszę Cię żebyś wynagrodził siwego staruszka
który nie proszony przyniósł mi owoce ze swego
ogrodu na spalonej słońcem ojczystej wyspie syna
Laertesa

a także Miss Helen z mglistej wysepki Mull na
Hebrydach za to że przyjęła mnie po grecku i prosiła
żeby w nocy zostawić w oknie wychodzącym na
Holy Iona zapaloną lampę aby światła ziemi
pozdrawiały się

a także tych wszystkich którzy wskazywali mi drogę
i mówili *kato kyrie kato*

i żebyś miał w swej opiece Mamę ze Spoleto
Spiridiona z Paxos dobrego studenta z Berlina który
wybawił mnie z opresji a potem nieoczekiwanie
spotkany w Arizonie wioził mnie do Wielkiego
Kanionu który jest jak sto tysięcy katedr zwróconych
głową w dół

– pozwól o Panie abym nie myślał o moich
wodnistookich szarych niemądrych prześladowcach
kiedy słońce schodzi w Morze Jońskie prawdziwie
nieopisane

żebym rozumiał innych ludzi inne języki inne
cierpienia

a nade wszystko żebym był pokorny to znaczy ten
który pragnie źródła

dziękuję Ci Panie że stworzyłeś świat piękny i różny

a jeśli jest to Twoje uwodzenie jestem uwiedziony na
zawsze i bez wybaczenia

Z. Herbert, *Raport z oblężonego miasta* (tomik *Raport z oblężonego miasta*)

Zbyt stary żeby nosić broń i walczyć jak inni –

wyznaczono mi z łaski poślednią rolę kronikarza
zapisuję – nie wiadomo dla kogo – dzieje oblężenia

mam być dokładny lecz nie wiem kiedy zaczął się najazd
przed dwustu laty w grudniu wrześniu może wczoraj o świcie
wszyscy chorują tutaj na zanik poczucia czasu

pozostało nam tylko miejsce przywiązanie do miejsca
jeszcze dzierzmy ruiny świątyń widma ogrodów i domów
jeśli stracimy ruiny nie pozostanie nic

piszę tak jak potrafię w rytmie nieskończonych tygodni
poniedziałek: magazyny puste jednostką obiegową stał się szczur
wtorek: burmistrz zamordowany przez niewiadomych sprawców
środa: rozmowy o zawieszeniu broni nieprzyjacieli internował posłów
nie znamy ich miejsca pobytu to znaczy miejsca kaźni
czwartek: po burzliwym zebraniu odrzucono większością głosów
wniosek kupców korzennych o bezwarunkowej kapitulacji
piątek: początek dżumy sobota: popełnił samobójstwo
N. N. niezłomny obrońca niedziela: nie ma wody odparliśmy
szturm przy bramie wschodniej zwanej Bramą Przymierza

wiem monotonne to wszystko nikogo nie zdoła poruszyć

unikam komentarzy emocje trzymam w karchach piszę o faktach
podobno tylko one cenione są na obcych rynkach
ale z niejaką dumą pragnę donieść światu
że wyhodowaliśmy dzięki wojnie nową odmianę dzieci
nasze dzieci nie lubią bajek bawią się w zabijanie
na jawie i we śnie marzą o zupie chlebie i kości
zupełnie jak psy i koty

wieczorem lubię wędrować po rubieżach Miasta
wzdłuż granic naszej niepewnej wolności
patrzę z góry na mrowie wojsk ich światła
słucham hałasu bębnow barbarzyńskich wrzasków
doprawdy niepojęte że Miasto jeszcze się broni

oblężenie trwa długo wrogowie muszą się zmieniać
nic ich nie łączy poza pragnieniem naszej zagłady
Goci Tatarzy Szwedzi hufce Cesarza pułki Przemienienia Pańskiego
kto ich policzy
kolory sztandarów zmieniają się jak las na horyzoncie
od delikatnej ptasiej żółci na wiosnę przez zieleń czerwień do zimowej czerni

tedy wieczorem uwolniony od faktów mogę pomyśleć
o sprawach dawnych dalekich na przykład o naszych
sprzymierzeńcach za morzem wiem współczują szczerze
ślą mąkę worki otuchy tłuszcz i dobre rady
nie wiedzą nawet że nas zdradzili ich ojcowie
nasi byli alianci z czasów drugiej Apokalipsy
synowie są bez winy zasługują na wdzięczność więc jesteśmy wdzięczni
nie przeżyli długiego jak wieczność oblężenia
ci których dotknęło nieszczęście są zawsze samotni
obrońcy Dalajlamy Kurdowie afgańscy górale

teraz kiedy piszę te słowa zwolennicy ugody
zdobyli pewną przewagę nad stronnictwem niezłomnych
zwykle wahanie nastrojów losy jeszcze się wąż

cmentarze rosną maleje liczba obrońców
ale obrona trwa i będzie trwała do końca

i jeśli Miasto padnie a ocaleje jeden
on będzie niósł Miasto w sobie po drogach wygnania
on będzie Miasto

patrzmy w twarz głodu twarz ognia twarz śmierci
najgorszą ze wszystkich – twarz zdrady

i tylko sny nasze nie zostały upokorzone

Z. Herbert Ze szczytu schodów (*Raport z oblężonego miasta*)

Ze szczytu schodów

Oczywiście
ci którzy stoją na szczycie schodów
oni wiedzą
oni wiedzą wszystko

co innego my
sprzątacze placów
zakładnicy lepszej przyszłości
którym ci ze szczytu schodów
ukazują się rzadko
zawsze z palcem na ustach

jesteśmy cierpliwi
żony nasze cerują niedzielą koszulę
rozmawiamy o racjach żywności
o pilce nożnej cenie butów
a w sobotę przechylamy głowę w tył
i pijemy

nie jesteśmy z tych
co zaciskają pięści
potrząsają łańcuchami
mówią i pytają
namawiają do buntu
rozgorączkowani
wciąż mówią i pytają

oto ich bajka –
rzucimy się na schody
i zdobędziemy je szturmem
będą się toczyć po schodach
głowy tych którzy stali na szczycie
i wreszcie zobaczymy
co widać z tych wysokości
jaką przyszłość
jaką pustkę

nie pragniemy widoku
toczących się głów
wiemy jak łatwo odrastają głowy
i zawsze na szczycie zostaje
jeden albo trzech
a na dole aż czarno od mioteli i łopat

czasem nam się marzy
że ci ze szczytu schodów
zejdą nisko
to znaczy do nas
gdy nad gazetą żujemy chleb
i rzekną

– a teraz pomówmy
jak człowiek z człowiekiem
to nie jest prawda co wykrzykują afisze
prawdę nosimy w zaciśniętych ustach
okrutna jest i nazbyt ciężka
więc dźwigamy ją sami
nie jesteśmy szczęśliwi
chętnie zostalibyśmy
tutaj

to są oczywiście marzenia
mogą się spełnić
albo nie spełnić
więc dalej
będziemy uprawiali
nasz kwadrat ziemi
nasz kwadrat kamienia

z lekką głową
papierosem za uchem
i bez kropli nadziei w sercu

1956

Z. Herbert, *Nic ładnego* (z tomu *Studium przedmiotu*)

Nic ładnego
deski farba
gwoździe klajster
sznurek papier

pan artysta
świat buduje
nie z atomów
lecz z odpadków

las ardeński
z parasola
morze jońskie
z atramentu

byle tylko
z mądrą miną
byle tylko
pewną ręką —

a już świat —

na szpilkach traw
haczyki kwiatów
obłoki z drutu
ciągnie wiatr

Lucjan Kapitkowski, Kaja Juszczenko

Z. Herbert, *Kamyk* (z tomu Studium przedmiotu).

kamyk jest stworzeniem

jego zapach i chłód

doskonałym

są słusze i pełne godności

równy samemu sobie

czuję ciężki wyrzut

pilnujący swych granic\

kiedy go trzymam w dłoni

wypełniony dokładnie

i ciało jego szlachetne

kamiennym sensem

przenika fałszywe ciepło

o zapachu który niczego nie przypomina

- Kamyki nie dają się oswoić

niczego nie płoszy nie budzi pożądania

do końca będą na nas patrzeć

okiem spokojnym bardzo jasnym

Tren Fortynbrasa (tomik poetycki "Studium Przedmiotu", 1961)

Zbigniew Herbert

- *Michalina Bąk*

Teraz kiedy zostaliśmy sami możemy porozmawiać książę jak mężczyzna
z mężczyzną
choćby leżysz na schodach i widzisz tyle co martwa mrówka
to znaczy czarne słońce o złamanych promieniach
Nigdy nie mogłem myśleć o twoich dłoniach bez uśmiechu
i teraz kiedy leżą na kamieniu jak strącone gniazda
są tak samo bezbronne jak przedtem To jest właśnie koniec
Ręce leżą osobno Szpada leży osobno Osobno głowa
i nogi rycerza w miękkich pantoflach

Pogrzeb mieć będziesz żołnierski chociaż nie byłeś żołnierzem
jest to jedyny rytuał na jakim trochę się znam
Nie będzie gromnic i śpiewu będą lonty i huk
kir wleczony po bruku hełmy podkute buty konie artyleryjskie werbel
werbel wiem nic pięknego
to będą moje manewry przed objęciem władzy
trzeba wziąć miasto za gardło i potrząsnąć nim trochę

Tak czy owak musiałeś zginąć Hamlecie nie byłeś do życia
wierzyłeś w kryształowe pojęcia a nie glinę ludzką

żyłeś ciągłymi skurczami jak we śnie łowiłeś chimery
łapczywie gryzłeś powietrze i natychmiast wymiotowałeś
nie umiałeś żadnej ludzkiej rzeczy nawet oddychać nie umiałeś

Teraz masz spokój Hamlecie zrobiłeś co do ciebie należało
i masz spokój Reszta nie jest milczeniem ale należy do mnie
wybrałeś część łatwiejszą efektowny sztych
lecz czymże jest śmierć bohatera wobec wiecznego czuwania
z zimnym jabłkiem w dłoni na wysokim krześle
z widokiem na mrowisko i tarczę zegara

Żegnaj książę czeka mnie jeszcze projekt kanalizacji
i dekret w sprawie prostytutek i żebraków
muszę także obmyślić lepszy system więzień
gdyż jak zauważyłeś słusznie Dania jest więzieniem
Odchodzę do moich spraw Dziś w nocy urodzi się
gwiazda Hamlet Nigdy się nie spotkamy
to co po mnie zostanie nie będzie przedmiotem tragedii

Ani nam witać się ani żegnać żyjemy na archipelagach
a ta woda te słowa cóż mogą cóż mogą książę

Pan Cogito obserwuje w lustrze swoją twarz

Kto pisał nasze twarze na pewno ospa
kaligraficznym piórem znacząc swoje „o”
lecz po kim mam podwójny podbródek
po jakim żartoku gdy cała moja dusza
wzdychała do ascezy dlaczego oczy
osadzone tak blisko wszak to on nie ja
wypatrywał wśród chaszczy najazdu Wenedów
uszy zbyt odstające dwie muszle ze skóry
zapewne spadek po praszczurze który łowił echo
dudniącego pochodu mamutów przez stepy

czoło niezbyt wysokie myśli bardzo mało
– kobiety złoto ziemia nie dać się strącić z konia –
książę myślał za nich a wiatr niósł po drogach
darli palcami mury i nagle z wielkim krzykiem
spadali w próżnię by powrócić we mnie

a przecież kupowałem w salonach sztuki
pudry mikstury maście
szminki na szlachetność
przykładałem do oczu marmur zieleni Veronesa
Mozartem nacierałem uszy
doskonaliłem nozdrza wonią starych książek

przed lustrem twarz odziedziczoną
worek gdzie fermentują dawne mięsa
żądze i grzechy średniowieczne
paleolityczny głód i strach

jabłko upada przy jabłoni
w łańcuch gatunków spięte ciało

tak to przegrałem turniej z twarzą

Wiersz z tomu *Pan Cogito*

Elio Słomiński

Z. Herbert, *Modlitwa starców* (z tomu *Elegia na odejście* (1990))

ale potem potem

czy nas nie odtrąciszy

kiedy już odejdą dzieci kobiety cierpliwe
zwierzęta

bo nie mogą znieść woskowych dłoni

ruchów niepewnych jak lot motyla

upartego milczenia i mowy naszej kaszlu

i bliska będzie chwila gdy świat skurczony w oku

odejmą jak łzę od oka i stłuką jak szkło

gdy otworzy się nagle szuflada pamięci

pytam o to

czy wtedy

przygarniesz nas z powrotem

bo będzie to powrót jak do kolan dzieciństwa

do drzewa wielkiego do ciemnego pokoju

do rozmowy przerywanej do płaczu bez żalu

wiem

to sprawa krwi

i my leniwi mistycy powłóczący nogami

z koślawym psalmem w garbatych palcach

nasłuchujemy jak się w żyłach przesypuje piasek

i w ciemnym wnętrzu biały rośnie kościół

z soli wspomnień wapna i niewymownej słabości

znów ciebie wprowadzają
przez astmatyczne sapanie dzwonów
przy zapalonych kwiatach
uczepieni smaku opłatka i białego płótna

jeśli z nas trudno zrobić anioły
przemień nas w psy niebieskie
kundle o zmierzwionej sierści
ćmy o szarej twarzy
zagasłe oczy żwiru
ale nie daj
aby pożarł nas
nienasycony mrok twoich ołtarzy
powiedz tylko to jedno
że potem wrócimy

Patrycja Brodziak

Z. Herbert *Domysły na temat Barabasz* (z tomu *Elegia na odejście*)

Co stało się z Barabaszem? Pytałem nikt nie wie
Spuszczony z łańcucha wyszedł na białą ulicę
mógł skręcić w prawo iść naprzód skręcić w lewo
zakręcić się w kółko zapiąć radośnie jak kogut
On Imperator własnych rąk i głowy
On Wielkorządca własnego oddechu

Pytam bo w pewien sposób brałem udział w sprawie
Zwabiony tłumem przed pałacem Piłata krzyczałem
tak jak inni uwolnij Barabasz Barabasz
Wołali wszyscy gdybym ja jeden milczał
stałoby się dokładnie tak jak się stać miało

A Barabasz być może wrócił do swej bandy
W górach zabija szybko rabuje rzetelnie
Albo założył warsztat garncarski
I ręce skalane zbrodnią
czyści w glinie stworzenia
Jest nosiwodą poganiaczem mułów
lichwiarzem
właścicielem statków – na jednym z nich
żeglował Paweł do
Koryntian
lub – czego nie można wykluczyć –
stał się cenionym szpiclem na żołdzie
Rzymian

Patrzcie i podziwiajcie zawrotną grę losu
o możliwości potencie o uśmiechy fortuny

A Nazareńczyk
został sam
bez alternatywy
ze stromą
ścieżką
krwi

Dobromiła, IV LO

Elegia na odejście pióra atramentu lampy

1

Zaprawdę wielka i trudna do wybaczenia jest moja niewierność
bo nawet nie pamiętam dnia ani godziny
kiedy was opuściłem przyjaciele dzieciństwa

naprzód zwracam się kornie do ciebie
pióro z drewnianą obsadką
pokryte farbą lub chrupkim lakierem

w żydowskim sklepiku
– skrzypiące schodki dzwonek u drzwi oszklonych –
wybierałem ciebie
w kolorze lenistwa
i już wkrótce nosiłeś
na swym ciele
zadumę moich zębów
ślady szkolnej zgryzoty

srebrna stalówko
wypustko krytycznego rozumu
posłanko kojącej wiedzy
– że ziemia jest kulista
– że proste równoległe
w pudełku sklepikarza
byłaś jak czekająca na mnie ryba
w ławicy innych ryb
– dziwiłem się że tyle jest
przedmiotów bezpańskich
i zupełnie niemych –
potem
na zawsze moją
kładałem cię nabożnie w usta
i długo czułem na języku
smak
szczawiu
i księżycu

atramencie
wielmożny panie inkauscie
o świetnych antenatach
urodzony wysoko
jak niebo wieczoru
schnący długo
rozważny
i cierpliwy bardzo
przemieniałyśmy ciebie
w Morze Sargassowe
topiąc w mądrych głębinach
bibułę włosy zakłęcia i muchy
aby zagłuszyć zapach
łagodnego wulkanu
apel przepaści

kto was dzisiaj pamięta
umiłowani druhowie
odeszliście cicho
za ostatnią kataraktę czasu
kto was wspomina z wdzięcznością
w erze szybkich głupiopisów
arogankich przedmiotów
bez wdzięku
imienia
przeszłości

jeżeli o was mówię
to chciałbym tak mówić
jakbym wieszał *ex voto*
na strzaskanym ołtarzu

2

Światło mego dzieciństwa
lampo błogosławiona

w sklepach starzyzny
spotykam czasem
twoje zhańbione ciało

a byłaś dawniej
jasną alegorią

duchem uparcie walczącym
z demonami gnozy
cała wydana oczom
jawna
przejrzyście prosta

na dnie zbiornika
nafta – eliksir pralasów
śliski wąż knota
z płomienistą głową
smukłe panieńskie szkiełko
i srebrna tarcza z blachy
jak Selene w pełni

twoje humory księżniczki
pięknej i okrutnej

histerie primadonny
nie dość oklaskiwanej

oto
pogodna aria
miodowe światło lata
ponad wylotem szkiełka
jasny warkocz pogody

i nagle
ciemne basy
nalot wron i kruków
złorzeczenia i kłątwy
proroctwo zagłady
furia kopci

jak wielki dramaturg znałaś przybój namiętności
i bagna melancholii czarne wieże pychy
łuny pożarów tęczę rozpętane morze
mogłaś bez trudu powołać z nicości
krajobrazy zdziczałe miasto powtórzone w wodzie

na twoje skinięcie zjawiali się posłusznie
szalony książę wyspa i balkon w Weronie

oddany byłem tobie
światlista inicjacja
instrumencie poznania
pod młotami nocy

a moja druga
płaska głowa odbita na suficie
patrzyła pełna grozy
jak z łoży aniołów
na teatr świata
skłębiony
zły
okrutny

myślałem wtedy
że trzeba przed potopem
ocalić
rzecz
jedną
małą
ciepłą
wierną

tak aby ona trwała dalej
a my w niej jak w muszli

3

Nigdy nie wierzyłem w ducha dziejów
wydumanego potwora o morderczym spojrzeniu
bestię dialektyczną na smyczy oprawców

ani w was – czterej jeźdźcy apokalipsy
Hunowie postępu cwałujący przez ziemskie i niebieskie stopy
niszcząc po drodze wszystko co godne szacunku dawne i bezbronne

trawiłem lata by poznać prostackie tryby historii
monotonną procesję i nierówną walkę

zbirów na czele ogłupiałych tłumów
przeciw garstce prawych i rozumnych

zostało mi niewiele
bardzo mało

przedmioty
i współczucie

lekkomyślnie opuszczamy ogrody dzieciństwa ogrody rzeczy
roniąc w ucieczce manuskrypty lampki oliwne godność pióra
taka jest nasza złudna podróż na krawędzi nicości

wybacz moją niewdzięczność pióro z archaiczną stalówką
i ty kałamarzu – tyle jeszcze było w tobie dobrych myśli
wybacz lampo naftowa – dogasasz we wspomnieniach jak
opuszczony obóz

zapłaciłem za zdradę
lecz wtedy nie wiedziałem
że odchodzicie na zawsze

i że będzie
ciemno

Z. Herbert

U wrót doliny

Z tomu Hermes, pies i gwiazda

Po deszczu gwiazd
na łące popiołów
zebrali się wszyscy pod strażą aniołów

z ocalałego wzgórza
można objąć okiem
całe beczące stado dwunogów

naprawdę jest ich niewielu
doliczając nawet tych którzy przyjdą
z kronik bajek i żywotów świętych

ale dość tych rozważań przenieśmy się wzrokiem
do gardła doliny z którego dobywa się krzyk

po święcie eksplozji
po święcie ciszy
ten głos bije jak źródło żywej wody

jest to jak nam wyjaśniają
krzyk matek od których odłączają dzieci
gdyż jak się okazuje
będziemy zbawieni pojedynczo

aniołowie stróże są bezwzględni
i trzeba przyznać mają ciężką robotę

ona prosi
– schowaj mnie w oku
w dłoni w ramionach
zawsze byliśmy razem
nie możesz mnie teraz opuścić
kiedy umarłam i potrzebuję czułości

starszy anioł
z uśmiechem tłumaczy nieporozumienie

staruszka niesie
zwłoki kanarka
(wszystkie zwierzęta umarły trochę wcześniej)
był taki miły – mówi z płaczem –
wszystko rozumiał
kiedy powiedziałam
głos jej ginie wśród ogólnego wrzasku

nawet drwał
którego trudno posądzić o takie rzeczy
stare zgarbione chłopisko
przyciska siekierę do piersi
– całe życie była moja
teraz też będzie moja
żywiła mnie tam
wyżywi tu
nikt nie ma prawa
– powiada –
nie oddam

ci którzy jak się zdaje
bez bólu poddali się rozkazom

idą spuściwszy głowy na znak pojednania
ale w zaciśniętych pięściach chowają
strzępy listów wstążki włosy ucięte
i fotografie
które jak sądzą naiwnie
nie zostaną im odebrane

tak to oni wyglądają
na moment
przed ostatecznym podziałem
na zgrzytających zębami
i śpiewających psalmy

Z. Herbert *Niepoprawność* (z tomu *Hermes, pies i gwiazda*)

Niepoprawność

Oto jest moje piękno niepoważne
a kruche jest jak włosy i jak szkło

układam swe przyrządy śpiewne
na brzegu stolic w przeddzień grozy

tu mały kubek upojenia
i struna jak zabity świerszcz
lutnia nie większa niż dłoń dziecka
fałszywy cień zmyślony śmiech

oto szkatułka barw zachodu
puzderko pieszczot łez flakonik
muzyki pukiel i młodości

to będę niósł jak chleb i miłość
mijając ciałem tor żelaza

oto jest moje kruche piękno
układam swe przyrządy śpiewne
na brzegu mórz na lotnym piasku

a fala widząc moją płochosć
kamień podaje zamiast kwiatu

Z. Herbert, *Głos* (z tomu *Hermes, pies i gwiazda*)

Idę nad morze
aby usłyszeć ten głos
między jednym uderzeniem fali
a drugim

ale głosu nie ma
jest tylko starcza gadatliwość wody
słone nic
skrzydło białego ptaka
przyschnięte do kamienia

idę do lasu
gdzie trwa nieprzerwany
szum ogromnej klepsydry
przesypującej liście w czarnoziem
czarnoziem w liście
potężne żuchwy owadów
trawia milczenie ziemi

idę na pole
płyty zielone i żółte
przytwierdzone szpilkami owadzich istnień
dźwięczą za każdym dotknięciem wiatru

gdzie jest ten głos
powinien odezwać się
gdy na chwilę zamilknie
niezmordowany monolog ziemi

nic tylko szmery
klaskanie wybuchy

wracam do domu
i doświadczenie przyjmuje
postać alternatywy
albo świat jest niemy
albo jestem głuchy

ale być może
obaj jesteśmy
napiętnowani kalectwem

musimy zatem
wziąć się pod rękę
iść przed siebie
ku nowym widnokręgom
ku skurczonym gardłom
z których wydobywa się
niezrozumiałe bulgotanie

nigdy o tobie

Zbigniew Herbert

Nigdy o tobie nie ośmiałam się mówić
ogromne niebo mojej dzielnicy
ani o was dachy powstrzymujące wodosпад powietrza
piękne puszyste dachy włosy naszych domów
Milczę także o was kominy laboratoria smutku
porzucone przez księżyc wyciągające szyje
i o was okna otwarte-zamknięte
które pękacie w poprzek gdy umieramy za morzem

Nie opiszę nawet domu
zna wszystkie ucieczki i moje powroty
choć mały jest i nie opuszcza powieki zamkniętej
nic nie odda zapachu zielonej portiery
ani skrzypienia schodów po których wnoszę zapaloną lampę
ani liścia nad bramą

Chciałbym właściwie napisać o klamce furtki tego domu
o jej szorstkim uścisku i przyjaznym skrzypieniu
i choć wiem o niej tak wiele

powtarzam tylko okrutnie pospolitą litanię słów

Tyle uczuć mieści się między jednym uderzeniem serca a drugim
tyle przedmiotów można ująć w obie ręce

Nie dziwcie się że nie umiemy opisywać świata
tylko mówimy do rzeczy czule po imieniu

tomik *Hermas, pies i gwiazda* (czyta Zuzanna Skibińska)

Z. Herbert, Różowe ucho (z tomu *Hermes, pies i gwiazda*)

Myślałem
znam ją przecież dobrze
tyle lat żyjemy razem

znam
ptasią głowę
białe ramiona
i brzuch

aż pewnego razu
w zimowy wieczór
usiadła przy mnie
i w świetle lampy
padającym z tyłu
ujrzałem różowe ucho

śmieszny płatek skóry
muszla z żyjącą krwią
w środku
nie wtedy nie powiedziałem —

dobrze byłoby napisać
wiersz o różowym uchu
ale nie taki żeby powiedzieli

też sobie temat wybrał
pozuje na oryginała

żeby nawet nikt się nie uśmiechnął
żeby zrozumieli że ogłaszam
tajemnicę

nic wtedy nie powiedziałem
ale nocą kiedy leżeliśmy razem
delikatnie próbowałem
egzotyczny smak
różowego ucha

Z. Herbert - wiersz *Do Wisławy* oraz list Z. Herberta adresowane do Wisławy Szymborskiej (*Jacyś złośliwi bogowie zakpili z nas okrutnie. Korespondencja 1955-1996*)

24. Zbigniew Herbert do Wisławy Szymborskiej

[po 20 sierpnia 1961]

Moja Żabciu,

piszę pod drzewem (nie lipą, którą uwielbiał Jaś*) Kochanowski nie taki znów doskonały poeta**). Wróbel żre glizdę (jak u Grochowiaka – to znów dobry poeta). Deszczyk siusia „a mnie jest szkoda lata” (piosenka, zaśpiewam jak przyjadę).

Napisz zaraz czy dobroć to znaczy słabość. Gnębi mnie to od 38 lat.

Jeśli zechcesz coś drukować, drukuj Moja Muszelko i możesz zaznaczyć, że to z tomiku *Studium przedmiotu* (Czytelnik). Jeśli zaś nie możesz odeslij błagam, bo bryndza i muszę gdzieś sprzedać. Forsy mało a chałtura nie idzie.

Zobaczysz, jak zostanę Panem Bogiem to wszyscy ludzie a nawet kobiety będą szczęśliwe. Zobaczysz.

Z Twoich próz poetyckich podobała mi się najbardziej ta o butelce (*Jestem tu*).

Ja chodzę po jaskiniach (w poszukiwaniu praczlówka).

Może niedługo umrę, ale pamiętaj że Cię kochałem zmysłowo choć bezinteresownie.

Całuję Twoje kolana
łokcie
i inne wypukłości
Zbigniew



*) dla Jasia Zycha pozdrowienia anielskie

**) argumenty w drodze

80. Zbigniew Herbert do Wisławy Szymborskiej

[maj 1984?]

Do Wisławy ***

Gdy Maj – Królewicz niecie swe czary,
Wonie upojne, naręcza kwiatów,
Czy pomnisz Pani dwóch, ach, frustratów,
Którzy kochają Ciebie bez miary.

Cyt... chwila bowiem jest osobiwa,
Bo wokół zdrada, ciemnota, kłamstwo
A także grube jak urban chamstwo,
Więc Królu-Duchu chyżo przybywaj!!!



Nam trzeba pieśni, a nie tej pleśni,
Co duszę w skowyt bólu zakuwa,
Soki żywotne z ciała wypruwa
Oraz osłabia tężyznę mięśni.



Nam burz i gromów w tej chwili trza
Chłostać lajdaków nikczemne hordy
I w azjatyckie napluć im mordy,
Żeby cholera ich wzięła! Hu! Ha!!!

Przesłanie

Gdy Maj, gdzie może, swe kwiaty wypcha
I słowik kłaska, a mucha bzyczy,
Przyjm, o Wisławo, moc szczerych życzeń
Od Frąckowiaka
i Pana Zbycha.

"W mieście"

Z. Herbert

tomik
Epilog burzy

Lila Ślebioda

W mieście

W mieście kresowym do którego nie wrócę
jest taki skrzydlaty kamień lekki i ogromny
pioruny biją w ten kamień skrzydlaty
zamykam oczy aby go odpomnieć

w moim mieście dalekim do którego nie wrócę
jest ciężka i pożywna woda
kto tobie kubek z tą wodą raz poda
podaje wiarę że zawsze powrócisz

w moim mieście którego nie ma na żadnej mapie
świata jest taki chleb co żywić może
całe życie czarny jak wiara że znowu ujrzycie
kamień chleb wodę trwanie wież o świetle

Mama

Z. Herbert

tomik *Struna światła*

czyta Margareta Kąkol

Mama

Myslałem:

nigdy się nie zmieni

zawsze będzie czekała

ubrana w białą suknię

i niebieskie oczy

na progu wszystkich drzwi

zawsze będzie uśmiechała się

wkładając ten naszyjnik

aż nagle

urwała się nitka

teraz perły zimują

w szparach podłogi

mama lubi kawę

ciepły kafel

spokój

siedzi

poprawia okulary

na szpiczastym nosie

czyta mój wiersz

i siwą głową mu zaprzecza

ten który upadł z jej kolan

zaciska usta milczy

więc niewesoła rozmowa

pod lampą źródłem słodyczy

nieunoszony żalu

z jakich pije on studni

po jakich drogach chodzi

syn niepodobny do marzeń

karmiłam mlekiem łagodnym

jego spala niepokój

krwią go obmyłam ciepłą

ręce ma zimne i szorstkie

z daleka od twoich oczu

przebitych ślepą miłością

łatwiej unieść samotność

za tydzień

w zimnym pokoju

ze ściśniętym gardłem

czytam jej list

w tym liście

litera stoją osobno

jak kochające serca

Drży i faluje

Drży i faluje niepokojem

ogromna przestrzeń małych planet

która jak morze mnie pochłonie

uwięzłe w pulsach sekundniki

jak młyńskie koła w cieplej krwi

rok obracają bardzo szybko

na północ woła niema igła

nad ciemnej wody wartki prąd

pod chmur i nieba przemijanie

pochowaj w zmarszczce bliską śmierć

czolem jej drogi nie zagrodzisz

w pustynię wsiąknie myśl i krew

Zbigniew Herbert

“Mój ojciec”

tomik

Struna światła

Mój ojciec

Mój ojciec bardzo lubił France’a
i palił Przedni Macedoński
w niebieskich chmurach aromatu
smakował uśmiech w wargach wąskich
i wtedy w tych odległych czasach
gdy pochylony siedział z książką
mówilem: ojciec jest Sindbadem
i jest mu z nami czasem gorzko

przeto odjeżdżał Na dywanie
na czterech wiatrach Po atlasach
biegliśmy za nim zatroskani
a on się gubił W końcu wracał
zdejmował zapach kładł pantofle
znów chrobot kluczy po kieszeniach
i dni jak krople ciężkie krople
i czas przemija lecz nie zmienia

na święta raz firanki zdjęto
przez szybę wyszedł i nie wrócił
nie wiem czy oczy przymknął z żalu
czy głowy ku nam nie odwrócił

raz w zagranicznych ilustracjach
widziałem jego fotografię
gubernatorem jest na wyspie
gdzie palmy są i liberalizm

czyta Ewa Ciesielczuk

"Dwie krople"

Zbigniew Herbert

tomik *Struna światła*

Aleksandra Świdorska

Dwie krople

Lasy płonęły –
a oni
na szyjach splatali ręce
jak bukiety róż

ludzie zbiegali do schronów –
on mówił że żona ma włosy
w których się można ukryć

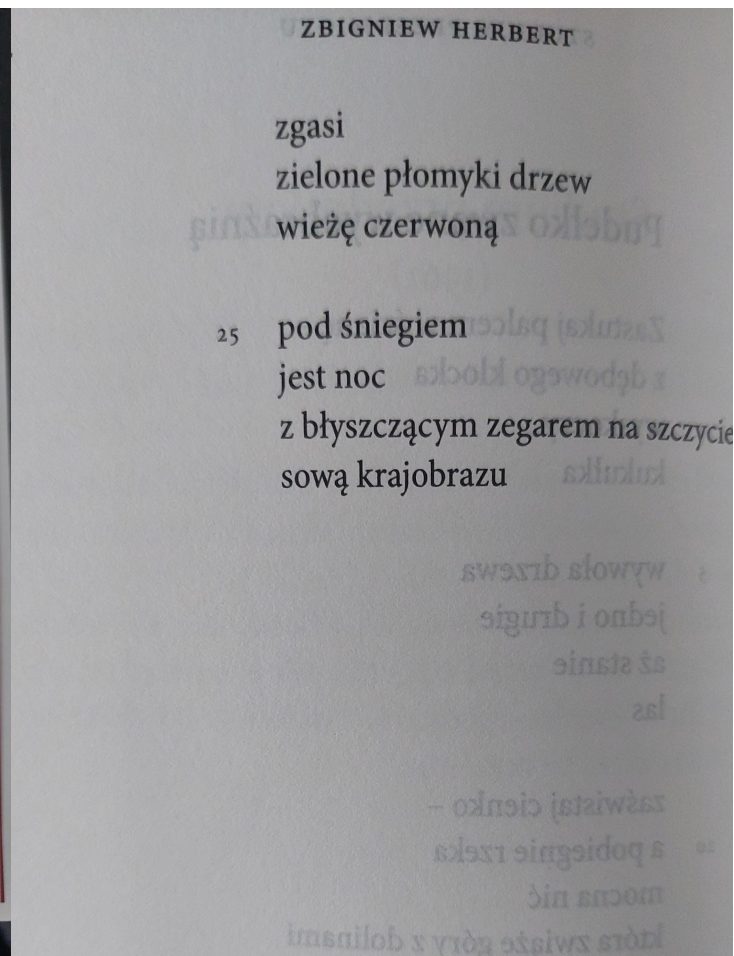
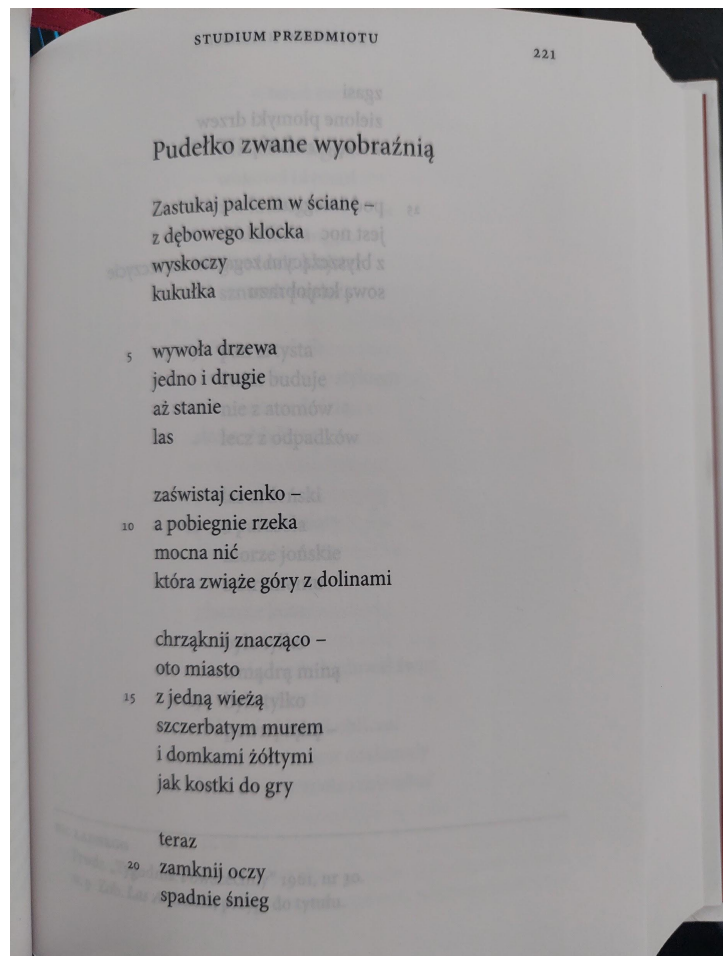
okryci jednym kocem
szeptali słowa bezwstydne
litanię zakochanych

Gdy było bardzo źle
skakali w oczy naprzeciw
i zamykali je mocno

tak mocno że nie poczuli ognia
który dochodził do rzęs

do końca byli mężni
do końca byli wierni
do końca byli podobni
jak dwie krople
zatrzymane na skraju twarzy

Z. Herbert, *Pudełko zwane wyobraźnią* (Z tomu *Studium przedmiotu*)



Zbigniew Herbert

"Jak nas wprowadzono"

Jak nas wprowadzono

Obludnym protektorem

Bawilem się na ulicy
nikt mną się nie zajmował
robiłem babki z piasku
mrucząc pod nosem Rimbauda

raz starszy pan to posłyszał
jesteś chłopcze poetą
my właśnie teraz robimy
oddolny ruch literacki

pogłodził po brudnej głowce
dał mi dużego lizaka
a nawet kupił ubranie
w ochronnej barwie młodości

takiego ślicznego ubrania
nie miałem od pierwszej komunii
krótkie spodenki i wielki
marynarski kołnierzyk

czarne lakierki z kłamrą
białe skarpetki do kolan
wziął starszy pan za rękę
i poprowadził na bal

tam byli inni chłopcy
także w krótkich spodenkach
starannie wygoleni
szurający nogami

no teraz bawcie się chłopcy
dlaczego stoicie po kątach
— pytali starsi panowie —
no zróbcie koło młyńskie

a myśmy nie chcieli berka
nie chcieliśmy ciuci babki
dość mieliśmy starszych panów
byliśmy bardzo głodni

więc zaraz nas posadzono
wokół wielkiego stołu
dano nam wody z sokiem
i po kawalku tortu

teraz wstawali chłopcy
przebrani za dorosłych
grubym głosem chwalili
lub bili nas po łapach

niczegośmy nie słyszeli
niczegośmy nie czuli
wpatrzeni wielkimi oczami
w kawalek tortu który
coraz bardziej się topił
w gorących naszych rękach
i słodycz ta pierwsza w życiu
ginęła w ciemnym rękawie

Pogrzeb młodego wieloryba

Zbigniew Herbert

Konie morskie o zadach tłustych i oczach ironicznych, konie,
odziane w kapy pomarańczowe, ciągną karawan - czarną
cukiernicę, roniąc po drodze domowe pantofle z dużą perłą
zamszową, naszytą na ciemne tło.

Wiozą go aleją wąwozów wśród szelestu bezmiernej wody
przeciekającej kropla po kropli, wśród niezliczonych
nieskończoności gwiazdzisto-piaszczystych,
piaszczysto-gwiazdzistych, piaszczystych.

Słońce wiąże powietrze w małe kokardki. Motyle pilnują go,
aby nie uleciał. Sznury kwiatów trzymają, aby nie wypłynął
z zatoki żałobnego wozu.

Pasikoniki morza - chitynowe, ale wyczulone na problem
istnienia, płaczą: co to komu szkodziło, że kpił dobroduszenie
z okrętów, lubił głos trąby powietrznej i miał pełne pudełko
topielców, którymi bawił się jak żołnierzami z ołowiu.

Co to komu szkodziło?

Wiozą go przez ogromne polany zalane cytrynowym światłem,
przez płaskie przestrzenie, z których uchodzi sycząc biały tlen
jak nie domknięty widok.

Teraz dopiero przychodzą dzwony. Montują na wysokościach
wielkie krosna. Tkają cienisty pokrowiec na cały kondukt, ciało
zmarłego, a nawet kawałek żalu.

Rzucają na ten pokrowiec początek poematu :

O różowa góro słodkiego mięsa - żegnaj, O melonie
przedwcześnie zerwany ze szklanej gałęzi oceanów

Nataniel Kołodziejczak

Kalendarze Pana Cogito Zbigniew Herbert (z tomu *Rovigo*)

Pan Cogito
przegląda czasem
swoje stare kieszonkowe
kalendarze

i wtedy odjeżdża
jak na białym parostatk
w czas przeszły dokonany

na samą granicę horyzontu
własnej niepojętej istoty

widzi siebie
w daleki tle
ciemnego obrazu

Pan Cogito
doznaje uczucia
jakby spotkał

kogoś dawno zmarłego
lub niedyskretnie czytał
cudze pamiętniki

stwierdza bez satysfakcji
żelazną konieczność obrotów ziemi
następstwo pór roku
nieubłagane tykanie zegarów

i znikliwą
przerywistą linię
własnej egzystencji

owego pamiętnego dnia
(imieniny ukochanej)
słońce wstało dokładnie
szósta trzydzieści pięć
zaszło o ósmej dwadzieścia jeden

natomiast wspomnienie
panny
jest mgliste
imię załedwie
kolor oczu
piegi
drobne ręce
śmiech
nie zawsze sensowny

kalendarz informuje dokładnie
że księżyc był w nowiu
i tak było na pewno
ale czy o n a była i on
i ogród i czereśnie

2

Niepokój budzą w Panu Cogito
zapiski osobiste

Hala.
Spotkanie z Leopoldem.
Złożyć podanie o paszport.

ale schodząc głębiej
w zakamarkach jaźni
Pan Cogito
odkrywa miesiące
nie zapisane
żadną notatką
choćby tak banalną
jak – oddać bieliznę do prania
– kupić szczypiorek

żadnego znaku
żadnego numeru telefonu
żadnego adresu

Pan Cogito
wie co znaczy
złowróźbna
cisza

zna dobrze
ciężar
ślepych
wyblakłych
kartek

mógłby zniszczyć tę pustkę
zapisać byle czym

Pan Cogito
troskliwie przechowuje
szarobłękitne kalendarze

– jak łuski wystrzelonych naboju

– wykres absurdałnej choroby

– jak pamiętnik pogromu

Zbigniew Herbert
“Wycieczka Dinozaurów”
z tomu “Rovigo”

Paweł Jaszczkowski

Wycieczka Dinozaurów

- Dzieci do środka -
woła
magister psychologii
rozwojowej Dinozaurów

i już posłuszne dzieci
zielone jak wiosenna sałata
stają posłusznie w szeregu
trzymając się za spocone łapki

a po obu stronach
kroczą krzepcy kuzynowie
ze szkoły podchorążych
rozłożyste jak baobab matki
trzypiętrowe ciotki
i markotni ojcowie
których jedynym zajęciem
jest monotonne
przedłużanie gatunku

na przodzie
kroczy
Pierwszy Sekretarz
założyciel szkoły
Socjalizmu Naiwnego
doktor habilitowany
kambryjskiej Sorbony

za chwilę
wejdą na polanę
i Pierwszy Sekretarz
wygłosi programowy odczyt
o zaletach wzajemnej pomocy

widok zaprawdę kojący
nad całą gromadą
powiewa
zielony sztandar łagodności

boska równowaga środowiska

dostatek tlenu
rozsądna proporcja azotu
ciut-ciut helu

spacer trwa i trwa
miliony lat

ale oto
na scenę
wchodzi
prawdziwy
potwór
Dinozaur z ludzką twarzą

idea
błyskawicznie
wciela się
w rzeczywistość zbrodnie

i całą idyllę
kończy
ponura jatka

Z. Herbert, *Przesłuchanie anioła* (tomik *Napis*)

Kiedy staje przed nimi
w cieniu podejrzenia
jest jeszcze cały
z materii światła

eony jego włosów
spięte są w pukiel
niewinności

po pierwszym pytaniu
policzki nabiegają krwią

krwę rozprowadzają
narzędzia i interrogacja

żelazem trzciną
wolnym ogniem
określa się granice
jego ciała

uderzenia w plecy
utrwała kręgosłup
między kałużą a obłokiem

po kilku nocach
dzieło jest skończone

skórzane gardło anioła
pełne jest lepkiej ugody

jakże piękna jest chwila
gdy pada na kolana
wcielony w winę
nasycony treścią

język waha się
między wybitymi zębami
a wyznaniem

wieszają go głową w dół

z włosów anioła
ściekają krople wosku
tworzą na podłodze
prostą przepowiednię

Zbigniew Herbert
„Poległym poetom”

tomik: *Struna światła*

Poległym poetom

Śpiewak ma wargi zestalone
śpiewak wymawia noc oczyma
pod złym kolorem nieboskłonów
gdzie pieśń się kończy zmierzch zaczyna
i nieba cień zarasta ziemię

Gdy w stogach gwiazd lotnicy chrapią
uchodzisz chroniąc śmieszny rulon
Mozaiki gubisz słów Metafor
śmiech towarzyszy ci w ucieczce
naprzeciw sprawiedliwym kulom

Jak echa cień twych słów daremność
i wiatr w pokojach pustych strof
Nie tobie pożar święcić pieśnią
usychasz trwoniąc nadaremnie
przebitych dłoni kwiaty śnięte

Przesłanie

Milczący przyjm Skomlący pocisk
w ramiona brał by ujść zdziwieniu
Ten kopczyk wierszy darń zarośnie
pod złym kolorem nieboskłonów
który wypije twe milczenie

1
Nic dziwnego
że nie jest oblubienicą
prawdziwych mężczyzn

generałów
atletów władzy
despotów

przez wieki idzie za nimi
ta płacziwa stara panna
w okropnym kapeluszu
Armii Zbawienia
napomina

wyciąga z lamusa
portret Sokratesa
krzyżyk ulepiony z chleba
stare słowa

– a wokół huczy wspaniałe
życie
rumiane jak rzeźnia o
poranku

prawie ją można pochować
w srebrnej szkatułce
niewinnych pamiątek

jest coraz mniejsza
jak włos w gardle
jak brzęczenie w uchu

Zbigniew Herbert, “Pan Cogito o cnocie” (wiersz z tomu “Raport z oblężonego Miasta i inne wiersze”)

[Zofia Litwinowicz-Krutnik]

2
mój Boże
żeby ona była trochę młodsza
trochę ładniejsza

szła z duchem czasu
kołysała się w biodrach
w takt modnej muzyki

może wówczas pokochaliby ją
prawdziwi mężczyźni
generałowie atleci władzy despoci

żeby zadbała o siebie
wyglądała po ludzku
jak Liz Taylor
albo Bogini Zwycięstwa

ale od niej wionie
zapach naftaliny
sznurowe usta
powtarza wielkie – Nie

nieznośna w swoim uporze
śmieszna jak strach na wróble
jak sen anarchisty
jak żywoty świętych